

Czy państwo opiekuńcze jest dobrem

(*Najwyższy Czas!* Nr 3/1996 i *Gazeta Polska* Nr 39/1996)

Hasło “wrażliwości społecznej”, w zamierzeniu równoznaczne z postulatem niesienia zorganizowanej pomocy osobom bez pracy, chorym i starszym, powtarza się w tekstach i wypowiedziach przedstawicieli najróżniejszych partii politycznych. Niektórzy, zwłaszcza politycy programowo przyznający się do inspiracji chrześcijańskiej, wiążą to hasło z innym jeszcze – z hasłem “społecznej gospodarki rynkowej”. Niemal wszyscy uznają, że każde z tych haseł usprawiedliwia utrzymanie rozległego sektora publicznego, a zatem “bezpłatnej” opieki zdrowotnej i szkolnictwa oraz rozbudowanego, państwowego systemu opieki socjalnej. ~~Innymi słowy, politycy ci są zwolennikami utrzymania wysokiego opodatkowania obywateli (rzecz przecież w tym, że w ostatecznym rozrachunku to obywatel ponosi koszty wszelkiego opodatkowania – nie tylko własnych zarobków, ale też towarów i usług).~~

Czy rzeczywiście jednak obowiązek niesienia pomocy potrzebującemu oznacza konieczność utrzymania onnipotentnego państwa opiekuńczego? Wiele, jeśli nie wszystko, wskazuje na to, że odpowiedzi pozytywnej można udzielić wtedy tylko, gdy jej uzasadnienia szuka się nie w chrześcijaństwie a w marksizmie czy socjalizmie – łatwym do właściwego zakwalifikowania socjalizmie klasycznym lub socjalizmie “ukrytym”, nowoczesnym, coraz częściej na Zachodzie zwanym socjalizmem postmodernistycznym lub systemem społeczeństwa menadżerskiego.

Nakładany przez państwo na obywatela podatek jest niczym innym jak odbieraniem obywatelowi jego własności. W granicach rozsądku, przymus podatkowy można oczywiście usprawiedliwić. Państwo wszak zapewnia obywatelowi szeroko pojętą ochronę prawną, chroni go przed złoczyńcą i najeźdźcą, a to wszystko kosztuje. Można też uznać, że w pewnych skrajnych przypadkach tylko państwo, a nie wspólnota lokalna – sąsiedzka, gminna czy prafialna – może nieść pomoc jakiejś grupie potrzebujących. Ale, jak alarmował już w latach pięćdziesiątych ówczesny mądry orędownik społecznej gospodarki rynkowej i zarazem współtwórca niemieckiego cudu gospodarczego, profesor Wilhelm Röpke, państwo opiekuńcze nie ma wbudowanych w siebie mechanizmów hamujących rozrastanie się jego kompetencji. W roku 1958 profesor Röpke pisał: “Czyż można nie zauważyć, że sprawy [państwa opiekuńczego, przyp. J.K.] wymknęły się nam z rąk, tak jak to stało się z podatkiem progresywnym, rosnącym nieprzerwanie od chwili jego przyjęcia [...]? [...] Państwo opiekuńcze ma wbudowaną, nie dającą się wyeliminować skłonność do dalszego rozwoju. Coraz to inne obszary obejmuje się przymusową pomocą. Coraz to inne grupy społeczeństwa są wciągane w zakres owej pomocy.”

Profesor Röpke nie mylił się przestrzegając przed zwycięstwem w Europie socjalistycznego totalitaryzmu – wystarczy spojrzeć na udział sektora publicznego w gospodarkach państw Europy Zachodniej, czy zwrócić uwagę na panoszenie się socjalistów w Parlamencie Europejskim i innych agendach Unii Europejskiej. Profesor nie dlatego bił na alarm, że był dogmatycznym ekonomicznym liberałem (choć był ekonomicznym liberałem), ale dlatego, że był chrześcijaninem i widział zło płynące z niokielznanego rozwoju państwa opiekuńczego. Zdawał sobie sprawę, że zwolnienie człowieka z części odpowiedzialności za siebie i swoich najbliższych, zwolnienie go z obowiązku niesienia pomocy bliźniemu i scedowanie tej odpowiedzialności i tego obowiązku na państwo pozbawia człowieka właściwej mu godności, zniewala go i demoralizuje.

Niemiecki uczoney proponował zresztą sposoby powstrzymania rozrostu państwa opiekuńczego. Chciał by państwo przestrzegało wypracowanej przez naukę społeczną Kościoła zasady pomocniczości. Zasada ta nie pozwala wspólnotom “wyższego stopnia” ingerować w wewnętrzne życie wspólnot “stopnia niższego” – gmina nie ma prawa pozbawiać rodziny jej możliwości dbania o swoje sprawy, państwo nie ma prawa czynić tego gminie, przeciwnie, na przykład prawa stanowione przez państwo powinny sprzyjać wolnym działaniom wspólnot niższych stopni ku ogólnemu dobru. (Zasada pomocniczości zezwala na interwencję wspólnoty wyższego stopnia, w szczególności państwa, wtedy dopiero, gdy wspólnota niższego stopnia dopuszcza się niespełniania swoich naturalnych zadań.) Przez lata w obronę idei państwa opiekuńczego, obronę zgodną oczywiście z zasadą pomocniczości, nagażował się sam Kościół, zwłaszcza Ojciec Święty Paweł VI. Jednak państwo opiekuńcze nie dało się okiełznać.

Dziś Zachód doskonale zna ujemne strony centralistycznie zorganizowanej opiekuńczości państwowej. Nie ma żadnej wątpliwości, że w ekonomicznie i tak jeszcze dość liberalnej Ameryce opiekuńczość ta nie tylko zbyt wiele kosztuje, ale – w przypadku najuboższych obywateli – współodpowiedzialna jest za rozkład zastraszająco wielu rodzin, za niesłychany wzrost liczby nieślubnych dzieci oraz za trwałe przywiązanie wielu ludzi do statusu bezrobotnego. Upadek moralny Szwecji jest dziś oczywistością. Te i podobne obserwacje przyczyniły się do krytycznego przedstawienia państwa opiekuńczego przez Jana Pawła II w Jego encyklice “Centesimus Annus”.

W rzeczy samej, konsekwencje częściowego zwolnienia ludzi z odpowiedzialności i obowiązków objęły całe społeczeństwa, nie tylko ich niektóre warstwy. Maleniu znaczenia obowiązków towarzyszyło akcentowanie “praw”. Kiedyś, jeśli człowiek chciał utrzymać siebie i swoich najbliższych, wiedział, że **musi** pracować. Dziś mówi się nam, że mamy “prawo do pracy”, my zaś uważamy, że prawo to oznacza zgodę na socjalistyczny etatyzm i zorganizowanie nam przez państwo jakiegoś

pseudo-zajęcia. Kiedyś wszystkich jednakowo obowiązywało bycie uczciwymi ludźmi (choć nie wszyscy nimi byli), dziś niektórzy mają jakieś specjalne prawa jako takie czy inne “mniejszości”. Krótko mówiąc, pomniejszenie znaczenia obowiązków zaowocowało postawami roszczeniowymi i konsumpcyjnymi.

Twórcy idei państwa opiekuńczego nie chcieli zaniku autentycznej ludzkiej wrażliwości na nędzę bliźniego. Nie mogli też przewidzieć kryzysu moralnego, jaki dotyka dziś społeczeństwa krajów rozwiniętych. Ale państwo opiekuńcze miało swoją dynamikę rozrastania się kosztem ubezwłasnowolnienia obywateli i, co za tym idzie, sprzyjało powstaniu potężnego aparatu władzy. Skorzystały na tym elity polityczne i intelektualne, niepomniernie się rozrastając oraz zwiększając swoje znaczenie i wpływy. Oczywiście, ogromnie rozrosła się także biurokracja państwowa, żyjąca na koszt bezradnego podatnika. Do przemian ustrojowych szybko dostosował się wielki business, częściowo chroniąc się przed wolnorynkową konkurencją dzięki zamówieniom rządowym. Demokracja weszła w stadium “społeczeństw menadżerskich” – dyktatu pseudowiększości manipulowanej przez faktycznie rządzącą elitę menadżerów politycznych i przemysłowych, wspomaganą przez kastę “intelektualistów”. To nieprawda, że rządy nomenklaturowe były specyficzną cechą państw bloku sowieckiego. Elity nomenklaturowe rządzą obecnie wszędzie.

Przez ostatnie dziesięciolecie programy zachodnich partii centro-lewicowych (Demokratów w USA), chrześcijańskich, centro-prawicowych (Republikanów w USA), a także części partii prawicowych niemal się między sobą nie różniły. Dziś nikogo nie powinno dziwić, że wielki business w USA od lat równie chętnie finansuje partię Demokratyczną i Republikańską, że politycy wszystkich nacji są skorumpowani, zaś zdezorientowanym wyborcom obiecują gruszki na wierzbie bezczelnie zaniżając koszty swojej “szczodrości” za pieniądze podatników. Tak zemściło się danie zbyt wielkiej władzy państwu i jego elitom.

A co to wszystko ma wspólnego z socjalizmem? Faktem jest, że teoretycy lewicy zrezygnowali z bezwzględnej walki z własnością prywatną. Ale też dostrzegli, że wystarczy im kontrolowanie części tej własności – choćby tej pochodzącej z nadmiernych podatków. Lewica dostrzegła, że wystarczy jej zadbanie o centralne sterowanie redystrybucją pokaźnej części dochodu narodowego. Wszak ludzie wystarczająco skutecznie ograbieni z własnych pieniędzy nie mają wyboru i muszą zdać się na łaskę państwowej biurokracji i zarządzanych przez nią instytucji.

Rzecz w tym, że ubezwłasnowolnione społeczeństwo łatwiej poddać zabiegom lewicowych “inżynierów społecznych”. Lewicowi “intelektualiści”, od końca II wojny światowej nieźle opłacani przez ogół podatników, budują nowe, post-chrześcijańskie społeczeństwo. W społeczeństwie tym wychowanie dzieci zależy bardziej

od programów państwowych niż od woli rodziców. Tradycją się pogardza, wszystko co lokalne jest “zaściankowe”, wiarę w Boga ledwie się toleruje, to co związane z kulturą chrześcijańską najczęściej określa się mianem ciemnogrodu. W ich miejsce wprowadza się nowe kodeksy prawne, najróżniejsze “karty praw”, w najlepszym razie nieporadnie naśladowujące Dekalog i Tradycję, znacznie częściej promujące etyczny permissywizm i nihilizm. W tym nowym wspaniałym świecie rodzina ma już znaczenie co najwyżej symboliczne, nic dziwnego więc, że wychowanie do życia w rodzinie zostaje zastąpione zajęciami na temat “bezpiecznego seksu” z rozdawnictwem kondomów włącznie.

Marks miał więcej racji niżbyśmy sobie tego życzyli sądząc, że eliminując własność prywatną stworzy nowego człowieka – człowieka, w którego świadomości nie będzie już miejsca dla Boga i Jego praw, i który nie będzie bytem jednostkowym obdarzonym wolną wolą, lecz jakimś “bytem kolektywnym”, całkowicie uległym wobec “woli ogółu”. Marks rozumiał, że odebranie człowiekowi wszelkiej własności równoznaczne jest z pozbawieniem go jakiegokolwiek odpowiedzialności – za siebie, za swoją rodzinę, za cokolwiek.

Rozrośnięte państwo opiekuńcze działa może nie tak skrajnie, ale podobnie. Powtórzmy, jego racją bytu jest odbieranie człowiekowi części jego własności. Następnie, przejmując na siebie część decyzji etycznych, jakie powinna podejmować jednostka, państwo odbiera człowiekowi możliwość właściwego doświadczania jego podmiotowości – doświadczania jego grzeszności i jego cnót. Sumienie obumiera. Świat, pozbawiony tego co swojskie, wyzbyty tradycji, za to przepelniony “globalnymi” ideami “oświeconych” intelektualistów, jawi się jako obcy. Zrozumiałe i ewentualnie możliwe do wyegzekwowania pozostają “prawa” – prawo do roszczeń, prawo do konsumpcji, w końcu prawo do zmienienia w drodze referendum samych praw przyrodzonych człowieka, w tym jego prawa do życia. Państwo-moloch jest bliskie triumfu.

Lipiec 1994